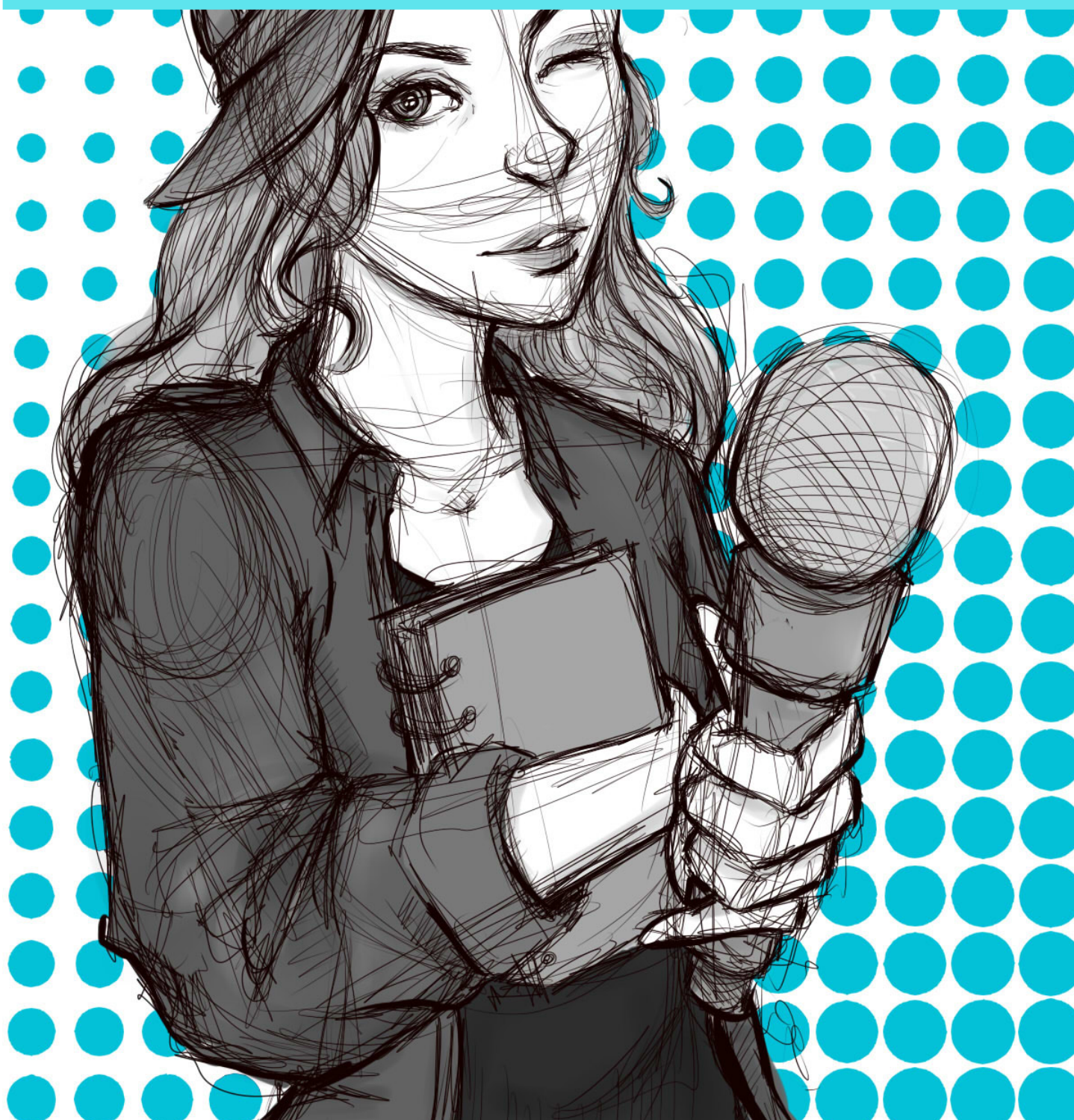


MARGINES

LUTY 2017

SZKOŁA ● UCZNIOWIE ● PRASA

EGZEMPLARZ BEZPŁATNY
NAKLAD WŁASNY



Okiem redaktora

Michał Grabowski

- Pobudka! Luty. Po feriach wracamy do gry!*

Jeden z Redaktorów w artykule pt. „Jak zmarnowałem talent” opowie nam z lekką ironią o tym, że jeśli jesteś pilnym uczniem i tak będą oczekiwać od ciebie więcej, zwłaszcza jeśli wykonujesz wszystkie zadania domowe i jesteś przygotowany do lekcji.

„Ciemna strona polskich władców” Pawła Suchana będzie doskonałym streszczeniem kilku niecnych bądź nawet głupich postępów władców Polski na przestrzeni wielu wieków. Pozycja obowiązkowa dla historyków (i nie tylko)!

Czytając „A po co to komu?” Pawła Hadriana, pierwsze co mi przyszło na myśl, to wywiad z naszym dyrektorem naczelnym, Panem Antonim Borgoszem do „Dziennika Polskiego” o tytule: „Każdy dobry technik powinien być również świetnym humanistą”. Paweł w swoim artykule ujął rzeczywisty problem, nad którym zastanawia się spora część naszej społeczności – to punkt dla tych, którzy wybrali się do naszej szkoły, mając jednocześnie w sobie duszę humanisty. Takie przedmioty jak historia czy polski mogą nam się kiedyś przydać (na przykład gdy wybierzemy się na studia niezwiązane z przedmiotami ścisłymi). Inny tekst o tytule „Paradoks tolerancji” jest świetnym przykładem na to, jak można napisać krótki acz rzeczowy artykuł, który nie zjada czytelnika swoją długością i skomplikowaniem.

Artykuł „Zestawienie filmów roku 2016” napisany wspólnie przeze mnie i Michała Ciborowskiego pokazuje, na które filmy, mające swoją premierę w polskiej dystrybucji w 2016 roku, zwróciliśmy uwagę, a także które kompletnie nas odrzuciły.

W numerze znajdziemy także recenzje dwóch filmów oraz gry. Michał Ciborowski nie próżnuje, jeśli chodzi o kino. Jeżeli ktoś się jeszcze nie wybrał na „La La Land”, przeczytanie jego recenzji przygotuje nas na to, czego możemy się spodziewać w tym filmie. Znajdziemy tutaj także napisaną przez Piotra Mazurka recenzję ostatniego filmu Andrzeja Wajdy o tytule „Powidoki” oraz recenzję gry RPG „Undertale” autorstwa Jana Kuśmierczyka. Zapraszam do lektury!

[illegible]

MARG NES

ZSŁ News

Krzysztof Głowacki

Luty już prawie się kończy, a co słychać w naszej szkole?

Niedawno skończyły się ferie, teraz ciężki okres przedstawia się na szkolny tryb pracy; na poważnie zaczyna się drugi semestr, walka o oceny końcoworoczne powoli nabiera tempa, zapewne większość z nas ma problem z powrotem do codzienności – ciężkiej nauki, bo powiedzmy sobie szczerze, prosto nie jest, ale to normalne, naturalnym jest też, że w tej walce to my będziemy zwycięzcami.

W naszej szkole, ostatnio było wiele pozytywnych wydarzeń, wiele pozytywnych jest przed nami, ale także i te negatywne miały miejsce.

Nasi siatkarze, zdobyli złoto, w tegorocznej Licealiadzie, teraz przed nimi etap wojewódzki, życzymy powodzenia i trzymamy kciuki!

Sukces odniósł także, uczeń klasy 4ia Kasper Sapała, awansował do zawodów II stopnia, Olimpiady informatycznej, również trzymamy kciuki i życzymy kolejnych sukcesów.

Odbývają się kolejne turnieje szachowe, 28.02, 07.03, 14.03, 21.03, 28.03, to daty, w których będą miały miejsce kolejne ich edycje. Zapraszamy do udziału!

Jakub Kobiółka, odniósł sukces w VI edycji Ogólnopolskiego konkursu wiedzy historycznej o odzyskaniu przez Polskę niepodległości w 1918 roku, pt. „Bój o czapkę kpt. Antoniego Stawarza”, zajął 5 miejsce w klasyfikacji indywidualnej.

Niestety, jak wcześniej wspominałem, są także mniej pozytywne wiadomości, dnia 2 lutego br. odszedł na wieczny spoczynek Profesor Wiesław Widła, wspaniały pedagog i przyjaciel młodzieży; dnia 9 lutego odbyła się ceremonia pogrzebowa.

Na kolejne dni zdobywania wiedzy i umiejętności życzymy powodzenia!

Ciemna strona polskich władców

Paweł Suchan

Jeśli interesują cię, drogi Czytelniku, podboje, nie tylko terytorialne naszych królów, to zapraszam do artykułu, w którym przybliżę inne historie naszych władców.

Zaczniemy od Bolesława Chrobrego, który to zgwałcił siostrę księcia ruskiego Jarosława Mądrego, zaraz po otrzymaniu odnowy dotyczącej ślubu. Choć sam nie był święty, to karał swoich poddanych, na przykład w przypadku niedotrzymania postu wybijał delikwentowi zęby, a gdyby kogoś przyłapał na rozpuście, to takiego osobnika przybijał na pal za mosznę i zostawiał z nożem.

Kolejny władca, który „zastał Polskę drewnianą, a zostawił mурwaną” był strasznie kochliwy. W życiu miał aż 4 żony i o wiele więcej kochanek. Kazimierz Wielki był zwany bigamistą, co oznacza, że trwając jeszcze w jednym związku zaczynał drugi. Z publikacji Jana Długosza wiemy, że z Czeszką, Krystyną Rokiczanką, zawarł ślub już po dziesięciu dniach znajomości.

Władysław III Warneńczyk, który koronowany był w bardzo młodym wieku, posądzany został o skłonności homoseksualne. Jan Długosz, który znał króla osobiście napisał: „iż Jagiellończyk skłonny do rozkoszy męskich, ani w czasie pierwszej wyprawy przeciw Turkom, ani w czasie tej drugiej, którą wtedy prowadził, gdy szalała wojna,

Dokończenie na s. 7

Jak zmarnowałem talent

Anonim

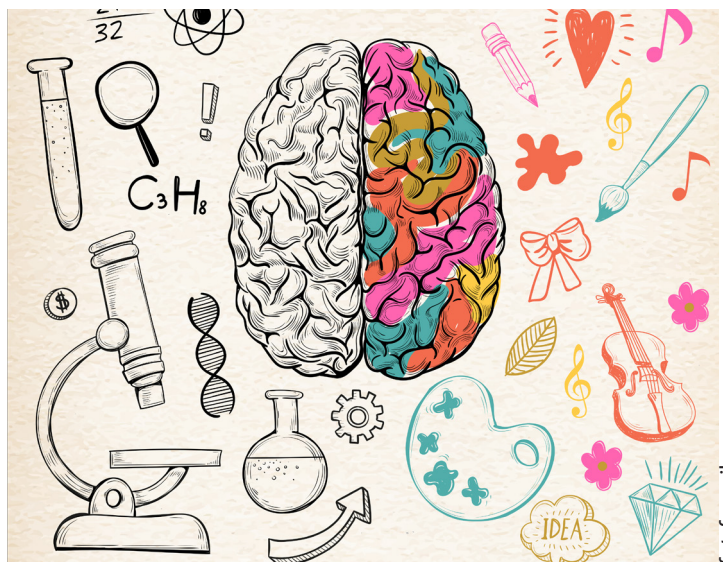
Przemyślenia ucznia, który - zdaniem niejednego nauczyciela - daje z siebie stanowczo zbyt mało.

Wciel się w rolę spokojnego, cichego, niczym niewyróżniającego się ucznia. Uważasz na lekcjach, regularnie odrabiasz zadania domowe, starasz się poważnie podchodzić do uczniowskich obowiązków. Według nauczyciela to jednak za mało, ponieważ unikasz zadań dodatkowych jak ognia i robisz, co możesz, żeby nie musieć się wypowiadać na lekcjach. Opis ten pokazuje moje życie od najmłodszych lat w szkole. Z tej racji chciałbym podzielić się doświadczeniami.

Od zawsze starałem się podchodzić do przedmiotów szkolnych z pewnego rodzaju szacunkiem, bo przecież nigdy nie wiadomo, jak się życie potoczy i jakie umiejętności okażą się pomocne, innymi słowy: lepiej wiedzieć więcej. Podejście do wszystkich przedmiotów szkolnych z podobnie dużą ilością powagi potrafi jednak być wymagające. Czy w takim wypadku można powiedzieć o uczniu, że zmarnował swój talent? Zdecydowanie, bo przecież najwyraźniej ma potencjał, którego nie rozwija. Trudniejszym natomiast pytaniem jest, czy postępuje on w ten sposób dobrze, bo przecież jednocześnie stara się uczyć wszechstronnie. Punkt widzenia zależy tu w dużej mierze od punktu siedzenia.

Nauczyciel pojedynczego przedmiotu widzi ucznia, który powinien być zdecydowanie bardziej aktywny, bo skoro jest przygotowany do lekcji, to dlaczego nie chce się wypowiadać? Skoro sumiennie odrabia zadania obowiązkowe, to dlaczego nie podejmuje się żadnych zadań nieobowiązkowych? Najczęściej jest to postrzegane jako zwykłe lenistwo, jednak każdy uczeń, postawiony w tej sytuacji znajdzie kolejne, unikalnie uzasadnienia takiego zachowania. Jedni wolą słuchać, obserwować, uczyć się z cudzych efektów pracy, inni tłumaczą się brakiem czasu, jeszcze inni boją się, że zadanie ich przerośnie i wolą nie ryzykować katowania się nadmiarem obowiązków. Przyczyny tego „lenistwa” mogą być bardzo różnicowane i podobnie powinno być z podejściem nauczyciela, chcącego zmotywować ucznia do działań w zakresie zadań dodatkowych.

Jestem jednym z uczniów przedstawionych powyżej - nauczyciel chciałby, abym rozwijał się bardziej, niż zmusza do tego podstawa programowa danego przedmiotu, jednak sam jestem temu przeciwny – mam wyraźne cele i szczególnie zależy mi na tym, by znaleźć na nie wystarczającą ilość czasu.



A po co to komu?

Paweł Hadrian

Czyli dlaczego technik potrzebuje polskiego, historii czy WOK-u.

Wielu młodych ludzi, w dzisiejszych czasach, uważa, że nauka na przykład historii jest nie potrzebna. Często można zauważyć wypowiedzi na ten temat na forach internetowych czy Facebooku. Zazwyczaj powstaje z tego dłuższa dyskusja, podczas której dysputanci przerzucają się często bzdurnymi argumentami. Najgorsze w tym jest jednak to, że często większość mają uważający przedmioty takie jak historię, polski czy WOK za zbędne. Najczęstszym argumentem jest to, że skoro ktoś jest na profilu ścisłym bądź chodzi do technikum, to wiedza ta jest mu nieprzydatna. Nic bardziej mylnego. Zwyczajnie nie uważamy użyteczności informacji zdobytych na tych lekcjach, ponieważ nie używamy ich tak, jak chociażby, wzorów z matematyki czy fizyki. Używamy ich jednak, stale. Budują one nasz obraz świata i rzeczywistości.

„Historia lubi się powtarzać”, jest to bardziej prawdziwe stwierdzenie niż może wam się wydawać. Znając choć trochę historii świata, możemy odnieść bieżącą sytuację, czy to polityczną, czy społeczną, do zamierzchłych epok, z dużym prawdopodobieństwem, że to już się kiedyś działo, a skoro tak, to łatwo możemy ocenić skutki lub zapobiec czemuś niekorzystnemu. Do tego przede wszystkim potrzebujemy historii. Nie znajomość dat jest najważniejsza, lecz działania i ich skutki, które pozwalają nam dostrzec zmiany świata. Poza tym historia mówi nam o tym, jak zmieniały się społeczeństwa, kształty państw czy myślenie ludzi, a przecież gdyby nie te wszystkie zmiany, nasz świat wyglądałby zupełnie inaczej. To prowadzi nas do kultury, o której też warto mieć pojęcie, bo sztuka, nawet użytkowa, odnosi się często do minionych epok bądź nurtów. Wpływ architektury sprzed tysięcy lat jest silny nawet teraz. Czy to nie wystarczający powód, żeby zainteresować się sztuką? Pomyśleć, co sprawiło, że mimo upływu lat ludzie wciąż zachwycają się obrazami Leonarda da Vinci, słuchają Mozarta czy stawiają budowle na wzór starożytnych Greków.

Literatura natomiast rozwija nas samych na wiele różnych sposobów. Po pierwsze wzbogaca nasz język. Znając więcej słów, możemy precyzyjniej powiedzieć to, co chcemy przekazać bądź też celowo używając wieloznaczności wyrazów, wprowadzać zamierzone niedopowiedzenia. To przydatne umiejętności dla każdego człowieka. Czytając, możemy się też dowiedzieć wiele o ludziach, sposobie myślenia, zachowaniach oraz ich zmienianiu się na przestrzeni lat. Często też, aby zrozumieć współczesne książki bądź filmy, musimy znać co nieco historii, sztuki bądź klasyki literatury, gdyż odniesienia do nich są wszędzie. Wiele frazeologizmów pochodzi też z tekstów kultury jak chociażby „orwellowska rzeczywistość” czy „złoty róg”.

Mówiąc, że nie jest nam to potrzebne do życia, usprawiedliwiamy jedynie własne lenistwo, oszukujemy samych siebie. Tracimy też wrażliwość na sztukę, przyzwyczajamy się do powszechnych współcześnie prostych, wręcz oczywistych, przekazów, co sprawia, że wiersze, obrazy, a nawet ambitne filmy miast skłonić nas do refleksji, zwyczajnie nas męczą. Upośledzając się na sztukę, zaprzeczamy osiągnięcia w tej dziedzinie wielu pokoleń. Poza tym, czy sztuka nie jest jedną z rzeczy najbardziej odróżniających ludzi od zwierząt? Zamykając się na nią, tracimy ważny aspekt naszego życia bądź nawet człowieczeństwa. Pomyślcie o tym następnym razem, kiedy będziecie mieć wątpliwości, czy ścisłowcom potrzebne jest to wszystko.

Paradoks tolerancji

Piotr Bartyzel

Czy w XXI w. słowa i pojęcia nadal znaczą to samo, co przed wiekami? Czy w dobie nowych technologii, pogoni za dobrami materialnymi mamy czas zastanowić się dokąd zmierzamy?

Najprostsza definicją tolerancji jest stwierdzenie: „poszanowanie czyichś poglądów, wierzeń, upodobań, różniących się od własnych”, pochodzące z naszej pocziwej Wikipedii. Pytanie, czy przesadny szacunek do inności cywilizacji lub kultur nie neguje naszej tożsamości i godności? Nie ma dóbr uniwersalnych. To co w naszej tradycji, religii jest zakazane, w innej może być narzucane i wymagane. Prawo w większości krajów zabrania mordowania innych, kradzieży itp. Podstawowe dyrektywy prawne swoje źródło mają dekalogu: „Nie zabijaj”, „Nie kradnij”. Wyobraźmy sobie, jak by wyglądała Polska i cywilizacja łaćwińska, gdybyśmy nie wdrożyli tych uniwersalnych prawd w swoim życiu; a jest ich o wiele więcej. Tu rodzi się wniosek, że musimy sobie wyznaczyć barierę moralną, której nigdy nie możemy przekroczyć. Jej złamanie zmieniałoby nasze życie na zawsze. Śmiem wątpić, że na lepsze...

Czyżby rodził się wniosek, że mamy nie być tolerancyjni? Oczywiście nie! Ludzie różnie wyglądają, mają różne poglądy, itp. Każdy człowiek zasługuje na szacunek. Jednak np. św. Tomasz z Akwinu, któremu zawdzięczamy kształt europejskiej cywilizacji, mówił, że chcielibyśmy kochać wszystkich, ale jest to niemożliwe. Konieczny jest tzw. naturalny porządek miłowania („ordo caritatis”). Zaczniemy się troszczyć o naszą rodzinę, przyjaciół, naród, a w następnej kolejności o innych. Czy tolerancją jest sytuacja, gdy kosztem zdrowia naszej mamy czy taty pomagam człowiekowi, który wzbudza nasze kontrowersje?

Tolerancja, która u podstaw ma postawy szlachetne, niestety jednak może prowadzić do skutków, z jakich nie zdawaliśmy sobie sprawy.

Może dać także do myślenia fakt, że w słowniku jednym z synonimów do słowa „tolerancja” jest stwierdzenie „niedostrzeganie zła”.

Pomagamy ludziom i szanujemy ich, szczególnie w tych trudnych czasach. Ale czasy stały się trudne nie przez jakieś magiczne substancje czy siły nadprzyrodzone, tylko przez innych ludzi. Troszczymy się o biednych, a nie o cwaniaków, którzy chcą naszą dobrość wykorzystać przeciw nam. Jak to zrobić? Pomagamy dyskryminowanemu, a nie ludziom, którzy chcą być dyskryminowani, by zyskać na rozgłosie. W większości przypadków wystarczy się chwilę zastanowić, znaleźć powiązania przyczynowo-skutkowe. Czy to trudne? Nie, wystarczy trochę zdrowego rozsądku.



fot. freepik.com

Zestawienie filmów roku 2016

Michał Ciborowski i Michał Grabowski

Rok 2016 obfitował w wiele premier, pobitych rekordów i przedsięwzięć, jakich podjęli się reżyserowie i aktorzy. Zajmijmy się ich podsumowaniem.

MARGINES

MG: Powiedziawszy już o prawdziwym zatrzęsieniu majstersztyków, warto wspomnieć o takim cudzie, jakim była „Nienawistna ósemka” Quentina Tarantino. Film ten nie okazał się szczególnie odkrywczy pod względem fabularnym. Ot co, miejsce akcji to odludzie w Wyoming, gdzie spotykają się ze sobą (całkiem przypadkowo) tawcy głów szukający schronienia. Jest to

Braliśmy pod uwagę jedynie filmy, które miały swoją premierę w polskiej dystrybucji w 2016.

Michał Grabowski: Zaczęło się dobrze. Wręcz doskonale! Początek roku nie pozostawał złudzenia, iż mieliśmy mieć do czynienia z prawdziwym zatrzęsieniem doskonałego kunsztu reżyserskiego oraz aktorskiego. Pierwsza polska premiera filmu, o jakiej warto wspomnieć, to niekonwencjonalny film pod tytułem „Big Short” Adama McKay’a, który po seansie pozostawił po mnie efekt „Łał”. Trwający ponad dwie godziny, wypełniony po brzegi sytuacjami zarówno poważnymi, śmiesznymi oraz nie przytłaczający widza swoją długością film o krachu na giełdzie w 2008 roku, pozwolił mi na osiągnięcie swego rodzaju stanu katharsis. Mało jest takich filmów, które spr-

wiają, że człowiek tak dobrze czuje się po ich obejrzeniu.

Michał Ciborowski: „The Big Short” zaskoczył pozytywnie, ale zaraz potem wpadł mój osobisty faworyt roku – „Creed: Narodziny Legendy”. Podstarzały Rocky Balboa szkoli syna swojego najlepszego przyjaciela/rywala. Dzięki temu dostaliśmy film będący nie tylko godną kontynuacją klasycznej serii, lecz również świetne wprowadzenie dla jej nowych fanów. Przepięknie napisany i wyreżyserowany spektakl. Z prostą, lecz bardzo zniuansowaną fabułą. A same sceny walk bokserskich to prawdziwa perła, kamera porusza się w nich po mistrzowsku. „Creed” to film, który nie tylko potrafi zadziałać motywująco – on przede wszystkim emocjonuje. Głównemu bohaterowi aż chce się kibicować, na ringu i poza nim.

western ze znakomitą obsadą oraz wszelkimi dopracowanymi szczegółami artystycznymi – poczynając od takich drobiazgów jak powóz konny, na charakteryzacji, kostiumach i doskonale dopracowanych scenach skończywszy. Jeśli potrzebujesz seansu wypełnionego gwałtownymi emocjami, strzelaniną bądź nieoczekiwanymi zwrotami akcji, oto masz przed sobą film legendarnego (już) Tarantino. Tutaj wszystko może się zdarzyć!

MC: Ogromnym zaskoczeniem stał się „10 Cloverfield Lane”. Film pojawił się dosłownie znikąd. Jest mieszanką kilku gatunków, najprościej jest określić go thrillerem rozgrywającym się na niewielkiej przestrzeni. I rzeczywiście trzyma w napięciu po mistrzowsku. Dosłownie co chwila trafia się tu zwrot akcji, zupełnie zmieniający nasze postrzeganie całej historii. Aktorzy,



z wybitnym Johnem Goodmanem na czele znakomicie utrzymują nas w tej niepokojącej atmosferze tajemnicy. A zakończenie całej fabuły uważam za jedno z najbardziej satysfakcjonujących, jakie kiedykolwiek widziałem. Owacje na stojąco. Chylę czoła, nie spodziewałem się tak niesamowitego zwieńczenia po, bądź co bądź, bardzo kameralnym filmie.

MG: Rzeczywiście, „10 Cloverfield Lane” piorunująco trafił również w moje gusta. Nie tylko można znaleźć tu coś dla fanów science-fiction czy postapokalipsy, ale również dla tych, którzy uwielbiają przytłaczający klimat thriller. Mimo że akcja dzieje się w jednym domu – przez godzinę i 45 minut – nie nudziło mi się nawet przez chwilę. Z każdą minutą działo się coś, co pozwalało widzowi natychmiastowo się rozbudzić i pytać: „Co się tu właśnie stało?”. Wspomniałbym również o okładce „10 Cloverfield Lane”, która to przede wszystkim sprawiła, że chciałem koniecznie obejrzeć ten film właśnie w tym dniu, w którym się o nim dowiedziałem. Jeden mały domek u góry i długa, biała linia w dół wskazująca, że bunkier, w którym znajdują się bohaterowie, jest bardzo głęboko... Takie niespodzianki zdarzają się raz na dłuższy czas i nie warto odkładać ich na później. Nie powiedziałbym jednak tego samego o zakończeniu, co rzekł mój towarzysz – wprawdzie było ono całkowicie nieoczekiwane i zaskakujące, mnie trochę rozczarowało. Nie będę tłumaczyć dlaczego (trzeba samemu obejrzeć, żeby się dowiedzieć)!

MC: Przejdźmy do blockbustów. O ile recenzowany przeze mnie w poprzednim „Marginesie” „Rogue One” bardzo przypadł mi do gustu, to musi ustąpić trzeciej części przygód Kapitana Ameryki, będącej dużo lepszym filmem pod względem wartości rozrywkowej. „Wojna bohaterów” to nie tylko fantastyczne i pomysłowe sceny akcji. To przede wszystkim fabuła, wyjątkowo poważna jak na film superbohaterski. Twórcy tak zręcznie przedstawili konflikt między dwoma superbohaterami (oraz ich zwolennikami), że ciężko jest jednoznacznie stwierdzić, która strona ma słuszość. To ogromna zaleta dzieła. Razem z faktem, że scenarzystom udało się zmieścić w jednym filmie nie tylko maksymalnie komiksową potyczkę całego tuzina superherosów, ale także finałową walkę, kameralną i chwytającą za serce. Efekt jest naprawdę niesamowity.

MG: Dla mnie pewnym zaskoczeniem okazał się film pt. „Widzę, widzę” reżyserii Severina Fialy oraz Veroniki Franz. Jest to początkowo niepozorny horror, który ma w sobie pewną ideę, którą jedynie wąskie grono widzów będzie potrafiło zgłębić. Akcja dzieje się w domku na wsi, w którym

mieszka dwóch chłopców oraz matka – ta właśnie przeszła swoistą metamorfozę po operacji plastycznej. Elias i Lukas zaczynają podejrzewać, że ich matka jest inną osobą. Film został wyprodukowany w Austrii, dlatego niemieckojęzyczne postacie tworzą tutaj pewien specyficzny, mroczny czy też krzykliwy klimat, którego nie znajdziemy w żadnym innym filmie. Na samym już początku spotykamy się ze sceną z filmu pt. „Die Trapp Familie” z 1956 roku, w której grupka dzieci wraz z dorosłą kobietą śpiewają piosnkę „Gute Nacht”. Jest to kwintesencja całego filmu „Widzę, widzę”, który ma przedstawiać metaforycznie historię Austrii, a więc niewielu widzów będzie w stanie ujrzyć to, co twórcy mieli na myśli. Mimo tego, nawet dla tych, którzy nie znają historii Austrii, będzie to mrożące krew w żyłach przeżycie. Wszecobecne odizolowanie głównych bohaterów od świata i schizofreniczność utworu powodują jednak, że widzom o słabych nerwach nie zalecam podchodzić do tego filmu.

MC: W lutym pojawiła się też pewna komedia romantyczna. I choć zazwyczaj takich nie oglądam, tak „Deadpool” naprawdę chwycił mnie za serce. Chemia między tragiczną postacią głównego bohatera i jego wybranką jest niezaprzeczalna. Tak samo jak wysokie stężenie bardzo różnorodnego humoru. Łamanie czwartej ściany, nawiązywanie do gatunku filmów superbohaterskich, a także klasyk kinematografii jest tu na początku dziwnym. Sytuacyjny humor, czarny humor, szermierka słowna, niczego tu nie brakuje. Nie jest to specjalnie wyszukane dzieło, za to posiada najbardziej sympatycznego bohatera roku. Potrzeba więcej takich filmów na walentynki!

MG: W zeszłym roku zdarzyło mi się napisać kilka recenzji naprawdę świetnych filmów, które opisałem w tym zestawieniu – i to jeszcze nie koniec, bowiem czas teraz powiedzieć o filmie, który znalazł się na szczycie mojej listy fenomenów 2016 roku. Jest to „Lobster” Giorgosa Lanthimos. Homer rzeczywiście okazał się znakomitym wyborem, gdyż „Lobster” w całej swojej okazałości jest nie tylko filmem, a dziełem sztuki. Muzykę z tego filmu wciąż słyszę, wyobrażając sobie sceny, które pozostały w mej pamięci. Tutaj liczy się koncepcja; liczy się idea i przesłanie. Rozmyślanie, gotowi się poświęcić i jaka jest prawdziwa natura człowieka – to tylko powierzchowne pytania, które zadaje sobie widz podczas seansu. I tego filmu w krótkim, pojedynczym akapicie nie da się jednoznacznie określić. Nie ma w nim jednoznacznej odpowiedzi. Zakończenie również jest niejednoznaczne. Z pewnością można go postawić obok egzystencjonalnej powieści

„Dżuma” Alberta Camusa. Warto się zastanawiać nad znaczeniem każdego symbolu, każdego jego fragmentu. I wiem, że jest to jeden z tych filmów, do których muszę koniecznie wrócić w niedalekiej przyszłości.

MC: Rozczarowania. Najgorsze z najgorszych. Z mojej strony o nagrodę „Październia roku™” walczą dwa tytuły. „Batman v Superman” kontra „Suicide Squad”. Pierwszy film jest wizualnie dopracowany do granic bólu, jednak przy tym pełny fabularnych głupot i niekonsekwencji. A na dodatek spluwa w twarz wszystkim wieloletnim fanom najbardziej popularnych superbohaterów na świecie. Superman jest tu ponurym męczennikiem z kompleksem Mesjasza, natomiast Batman – tępy morderca. To był bolesny seans. Natomiast „Suicide Squad” niby jest rozczarowaniem w mniejszym stopniu, za to jest wprost beznadziejny na wszystkich frontach bycia filmem. Konstrukcja i logika scenariusza, montaż, użycie muzyki, to wszystko leży i kwiczy. I już nawet nie wspomnę zupełnej profanacji postaci Jokera.

MG: Moje rozczarowania... Tym, czym bardzo się zawiodłem w tym roku, są typowe horrory. „Straszaki” – tak je nazwijmy. Miały przstraszyć, a rozbawiły do łez. Filmy, które były wielce rozreklamowane w kinach, a okazały się fiskusem ciągnącym od widzów pieniądze za seans. Takim filmem był chociażby „Las samobójców”, który zajmuje u mnie niechlubną pozycję jednego z najgorszych filmów tego roku. Miał być straszny, ale nie był. Fabułą nie powalił – okazał się trywialny do bólu. Aktorzy doprowadzili mnie do czarnej melancholii, a sam film do zniechęcenia życiem. Podobnie było z oglądanym przeze mnie niedawno „Kiedy gasną światła”. Okazał się to być film dobry tylko pod względem zdjęć i efektów specjalnych... Ani to nie trzymało w napięciu, ani nie straszło, ani też nie wprowadziło nic nowego. Pusta skorupa, ot co. Jedynym naprawdę dobrym horrorem z tego roku pozostaje „Widzę, widzę”. Wracając jeszcze do samych rozczarowań – bardzo przeciętnym filmem przejawiał się dla mnie „Nowy początek”, który zadziwił mnie fabułą związaną z lingwistyką, aczkolwiek rozczarował tempem oraz sposobem przedstawienia historii. Miałem wrażenie, że wiele z elementów filmu po prostu ucięto, a film był niepełny. Zdjęcia oraz montaż były na plus, przy czym w większości nowych filmów z XXI wieku te aspekty są pozytywne. Po tym seansie czułem niedosyt, brakowało mi tego czegoś, a zakończenie okazało się nazbyt słodkie. Z pewnością można to podpiąć pod niedopatrzenia reżysera (a może ktoś inny powinien być reżyserem?).

MC: Dobra, zakończę to optymistycznie,

bardzo niepozornym filmem. „Paterson” wyszedł pod sam koniec ubiegłego roku i mocno mnie zaskoczył. Film opowiada o kierowcy autobusu w małym miasteczku, a tak naprawdę o rutynie jego życia. Rutynie urozmaicanej dzięki pisaniu przez niego wierszy. A są to wiersze proste, ale piękne. Okropnie ujmująca w „Patersonie” jest jego kameralność, połączona z taką żywą pozytywnością. Wiersze poprawiały nastrój, spotykani przez głównego bohatera ludzie intrygowali, a nienachalny humor rozśmieszał salę do łez. Dawno nie widziałem filmu świadomie unikającego wszelkich dramatów. Co nie znaczy, że nic się tam nie dzieje – Paterson (grany przez świetnego Adama Drivera) widuje naprawdę ciekawe charaktery, które są ważnym elementem barwności obrazu. Dokładają swoją cegiełkę do klimatu. A całościowo, dzięki tej atmosferze stroniącej od nudy poetyckości oraz optymizmu, „Paterson” jest bardzo spokojnym, a wręcz odprężającym doświadczeniem, z którego można całkiem sporo wynieść. Brzmi jak dobra wróżba na kolejny rok.



Dokończenie tekstu ze s. 3

gdy naokoło panował strach i było mnóstwo wrogów przy garście jego wojska, kiedy należało przebłagać miłosierdzie Boże i pozyskać je sobie, on, nie zważając zupełnie na własne niebezpieczeństwo i na zagrożenie całego wojska, nie porzucał swych, przeciwnych czyściwości, wstrętnych rozkoszy”.

Hetman Stanisław Koniecpolski, nasza wielka nadzieja w polsko – tureckiej wojnie, mając wówczas 52 lata, ożenił się z 25-letnią Zofią Opalińską. Chcąc sprostować oczekiwaniom swojej pięknej żony, zażył konfortatywę (odpowiednik dzisiejszej viagry). Jednak dawkę, którą zażył, powinien rozłożyć na kilka razy, a ponieważ tego nie zrobił, zmarł z przedawkowania. Obecnie niektórzy twierdzą, że zapewnił sobie mocne miejsce w walce o Nagrodę Darwina.

Król, o którym krążą legendy, że potrafił rozkruszyć puchar dłonią, a nawet zgnać w rękach podkowę to August II Mocny. Znany był jednak nie tylko przez swoje moce, ale również ze względu na liczne podboje miłosne. Historycy twierdzą, że miał ponad 300 nieślubnych dzieci. Król nawet przyznawał się do niektórych kochanek. Oprócz miłosnych historii miał skłonności do picia, co odbiło się na jego zdrowiu. Podobno na łożu śmierci powiedział: „Całe moje życie było jednym nieprzerwanym grzechem. Boże, zlituj się nade mną”.

Nie wszyscy jednak prowadzili hulaszczę życie. Zygmunt III Waza, urodzony w więzieniu, w którym przebywali jego rodzice – Jan, książę szwedzki oraz Katarzyna Jagiellonka, którzy zostali uwięzieni przez brata Jana, Eryka XIV, prowadził szczęśliwe małżeństwo. Pierwszą jego żoną była Anna Habsburżanka, a po jej śmierci, siostra Anny, Konstancja. Jego synowie również byli traktowani na jednym poziomie i żaden nie był faworyzowany.

Taka lekcja historii nie ma na celu ośmieszenia polskich władców, a jedynie pokazanie, że każdy jest człowiekiem i popełnia błędy. Dbajmy jednak o to, aby te błędy były jak najszybciej naprawiane, żeby w przyszłości nikt o nich nie pamiętał. Pokazując takie oblicze królów, chciałem również zmienić perspektywę patrzenia na historię, nie tylko jak na przedmiot, na którym „wkuwa” się daty, ale jak na ciekawą opowieść, które są w dzisiejszych czasach łatwo dostępne, dzięki wszelakim źródłom, jak na przykład Internet.

„La La Land” Michał Ciborowski

Powrót do musicalowych tradycji w Hollywood, kawał mistrzowskiej reżyserskiej roboty oraz magiczna historia o spełnianiu marzeń.

Oglądam zwiastun zupełnie nieznanego mi filmu. Podoba mi się, więc idę do kina. W kinie zaskakuje mnie on tak mocno, że wychodzę ogłuszony tym, co chwilę wcześniej zobaczyłem. Uwielbiam to uczucie.

„La La Land” stał się tegorocznym wielkim zwycięzcą Złotych Globów, jest również potencjalnym faworytem nadchodzących Oscarów. Reżyser, Damien Chazelle, ma więc powody do radości. I słusznie, zasłużył – film jest tak spójny i przemyślany, że nic, tylko zgubić czapkę w kinie z zachwytem. Już sekwencja otwierająca pokazuje kunszt wykonania. Długi, musicalowy numer jest odgrywany przez ogromną liczbę ludzi. Dobre cztery minuty na jednym ujęciu. Cudo.

Potem nie ma już takich masowych popisów, zamiast tego otrzymujemy sympatyczną parę głównych bohaterów. Emma Stone wciela się w początkującą aktorkę, natomiast Ryan Gosling jest pasjonatem jazzu. Oczywiście ta dwójka się spotka, prezentując swoją ekranową chemię. Na szczęście dalsza część scenariusza nie jest sztampowa. Reżyser przedstawia dość życiową i prawdopodobną historię, jednak udaje mu się ubrać ją w naprawdę magiczny klimat. A ten jest najsilniejszą stroną „La La Land”.

Ten film mógłby toczyć się w latach pięćdziesiątych. Praktycznie tylko obecność smartfonów czy tabletów zdradza nam, że akcja ma miejsce we współczesności. Ubrania noszone przez postacie, muzyka, auto posiadane przez Goslinga, a także klasyczny motyw aspirujących artystów w Hollywood – to wszystko działa na nasze zmysły, niemal przenosząc nas w dawną epokę. Jest bardzo kolorowo, wręcz pastelowo. Z głośników praktycznie w każdej scenie płynie jazz, fortepianowe dźwięki lub inne optymistyczne piosenki przywodzące na myśl musicalową klasykę. „City of Stars” z miejsca stało się klasykiem. Może wokal nie jest idealny, może choreografia mogłaby być nieco bardziej wyszukana, ale to nieważne. Atmosfera filmu chwyta tak mocno, że ciężko mieć jakieś wyrzuty o detale.

Te środki idealnie łączą się w spójnym, filmowym świecie. Głównym tematem widowiska są marzenia, natomiast oś fabuły stanowią drogi bohaterów do ich spełnienia. I to jest ten ostatni pierwiastek magii „La La Land”. Reżyser postanowił wziąć dość sztampowy temat. Jednak podporządkował całą konwencję tak, aby przedstawić go w niebanalny sposób. Żaden fan musicali nie powinien go przegapić. Inni też powinni dać mu szansę. Mogą się zaskoczyć.



Recenzja ostatniego filmu Andrzeja Wajdy pt. „Powidoki”

Piotr Mazurek

„Dobre kino jest jak słońce. Na długo po seansie zostaje pod powieką”. Ten cytat Andrzeja Wajdy rozpoczyna seans filmu pt. „Powidoki”. Andrzej Wajda był wybitnym reżyserem, autorem takich filmów jak: „Katyń”, „Pan Tadeusz” czy też „Biesy”. W całej swojej karierze reżysera zdobył 29 nagród filmowych, w tym Oscara w 2000 r. i 42 nominacje.

Film „Powidoki” jest to dokument czasu opowiadający historię Władysława Strzemińskiego, wybitnego artysty, malarza, który w XX w. sformułował teorię unizmu, a także przedstawił serię obrazów zatytułowaną „Powidoki”. Bogusław Linda, grając główną rolę, miał trudne zadanie przedstawić człowieka, którego dzieła oraz idee nie podobały się socjalistycznemu rządowi w Polsce i podołał temu zadaniu. Główny bohater mimo prób wyniszczenia przez rząd jest niezłomny. W filmie bardzo mi się spodobała Nika Strzemińska grana przez Bronisławę Zamachowską. Relacja między nią a ojcem jest wzruszająca, mimo iż postać grana przez Bogusława Lindę wydaje się być zimną, pustą skorupą na samym początku. Bardzo dobrze zostały przedstawione działania komunistycznego rządu w stosunku do niepodporządkowania się władzy. Jedynym mankamentem był wątek relacji między Strzemińskim jako profesorem i jego studentami. Nie wnosił on nic do filmu poza przedstawieniem głównego bohatera jako nauczyciela w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Pięknych w Łodzi i wydłużał seans. Na minus należy też zaliczyć motyw nieszczęśliwej miłości, który został spłycony do poziomu dwóch scen w całym filmie.

„Artystę można zabić na dwa sposoby, albo mówiąc o nich za dużo, albo nic.” Ten cytat został wypowiedziany przez Juliana Przybosa w filmie i bardzo dobrze go podsumowuje. Nie jest to do końca biografia Władysława Strzemińskiego, lecz historia o tym, jak rząd w tamtych czasach potrafił zniszczyć człowieka, którym to Władysław Strzemiński nie był.

Według mnie „Powidoki” to bardzo dobry film i uważam, że jest to godny kandydat do Oscara.

Podopowieść Jan Kuśmierczyk

Piękny dzień, żeby wybrać się na wycieczkę w góry. Wszystko idzie po naszej myśli do czasu pewnego wypadku. Krótki moment starcza, by znaleźć się pod ziemią i stanąć twarzą w twarz z kwiatkiem, który nie jest tak przyjazny, na jakiego wygląda.

Prosta pikselowa grafika, nowatorski system walki, bogata historia i muzyka, która budzi podziw oraz szkielet w niebieskim dresie to właśnie główne elementy składowe „Undertale”. Mówię tu o wspaniałym przedstawicielu gatunku RPG, który został pokochany przez graczy na całym świecie. Autor gry, Toby Fox, wydał ją jako niezależną 15 września 2015 roku. Znana wśród fanów jest jako przygoda, gdzie nie trzeba nikogo zniszczyć. Intrygującym faktem tej gry jest jej niewielki rozmiar, który zupełnie nie pasuje do wielkości jej sukcesu.

Moja opinia na temat tej gry jest jak najbardziej pozytywna. Historia opowiada o przygodzie dziecka, które odnajduje się w podziemnym świecie zamieszkanym przez potwory. Zmieszane i zagubione z czasem poznaje sekrety nowego otoczenia. Skłamię, gdy powiem, że po jednym jej przejściu znudziła mi się. „Undertale” na pierwszy rzut oka wygląda jak zwyczajne RPG. Mało czasu potrzeba, by przyznać, że tak nie jest. Postacie, historia oraz przekaz tej produkcji jest bardzo oryginalny. Gra bazuje na zasadzie „Choices matter”. Gracz wcielający się w główną postać może wykreować alternatywne wydarzenia i zakończenia wskutek swoich wyborów. Łatwo tworzy się w ten sposób wewnętrzny konflikt. Nieświadomie przywiązujesz się do postaci lub bezlitośnie pozbywasz się wszystkich ze swojej drogi. Podczas starć z przeciwnikami pojawia się nowatorski system walki. Poza opcją walki istnieje też druga o nazwie działanie. Jest to zazwyczaj niecodzienny pomysł, by zdecydować się np. pogłaskać lub skomplementować przeciwnika.

Spółeczność, która poznała „Undertale”, może szczyć się swoją kreatywnością. Prostota gry pozwoliła na to, by powstały spore ilości fanowskich wersji reprezentujących rzesze graczy głodnych większej styczności z tym uniwersum. Jako gracz, który ma sporą styczność z tą produkcją, bez cienia wątpliwości poleciłbym „Undertale” każdej osobie zainteresowanej chociaż w najmniejszym stopniu.



fot. weranda.pl

